

Pismo



MAGAZYN OPINII

GRUDZIEŃ 2022 | NR 12 (60)

LITERATURA

Wojciech Chmielarz
Angela Carter

ESEJ

Greenwashing,
czyli jak nie dać
się nabrać

Metawersum:
komu to potrzebne?

Z PISMEM U...

Any Brzezińskiej
i sztuki w VR

REPORTAŻ

Zapraszamy
do Bardzo Dziwnego
Miasta

CENA: 17,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

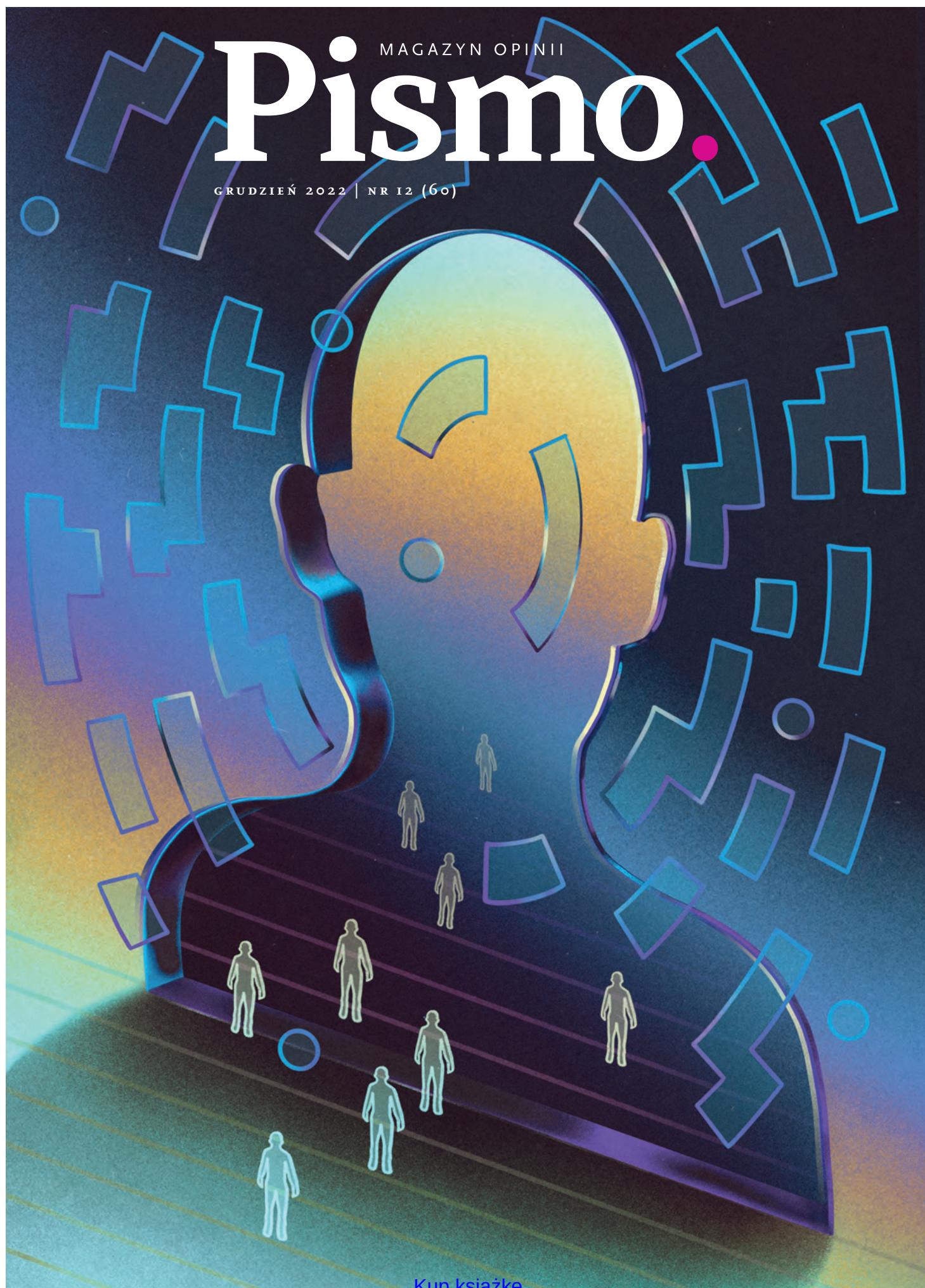


9 772544 502203

Pismo

MAGAZYN OPINII

GRUDZIEŃ 2022 | NR 12 (60)



[Kup książkę](#)



**Zamów roczną prenumeratę
z dostępem online i wydaniem
specjalnym w prezencie.**

także w opcji

KUP NA PREZENT

magazynpismo.pl/prenumerata

[Kup książkę](#)

MAGAZYN OPINII Pismo.

GRUDZIEŃ 2022

PROZA

Wigilia | 6

WOJCIECH CHMIELARZ

Pamiętka z Japonii | 90

ANGELA CARTER

RZECZ GUSTU

Redakcja poleca | 3

wydarzenia kulturalne w grudniu

POEZJA

Wigilia | 13

KRZYSZTOF KAMIL BACZYŃSKI

Siedzimy w lirycie współczesnej od lat | 20

IVAN DAVYDENKO

Wulkany | 35

SARA SZAMOT

OBRAZ

CYKL REMEDIUM **Maska jest jak zbroja** | 4

RAV.A STORIES

ARCHIWUM FOTOGRAFII **Pod kątem 72 stopni** | 36

STEFAN OKOŁOWICZ

KOMIKS **Meta-m** | 66

JAN MAZUR

W RAMACH PISMA **Kampania prezydencka...** | 88

C.U.K.T.

MINIATURY ***

ARTUR BLUSIEWICZ

OKŁADKA **Wielość światów**

ADA ZIELIŃSKA

FELIETON

2 | ROZMOWY Z K. **Zakazany papieros, poruszone zdjęcie**

KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytania czytelnika

96 | **À propos światów równoległych**

ZUZANNA KOWALCZYK

APTECZKA

95 | **Co w niej trzyma...**

TOMASZ WASILEWSKI

REPORTAŻ

14 | **Szew**

DOROTA BRAUNTSCH o Tychach: polepionym mieście i jego tożsamości

72 | **Z archiwum S**

ALEKSANDRA WARECKA u zbieraczy historii przez małe „h”

Z PISMEM U...

24 | **Any Brzezińskiej**

ZUZANNA KOWALCZYK rozmawia z ekspertką od sztuki tworzonej w VR

ESEJ TECHNOLOGIE

46 | **Nowy internet, nowe rozdanie?**

PIOTR FORTUNA analizuje blaski i cienie metawersum

STUDIUM

56 | **Zielone pranie mózgu**

KATARZYNA UDRYCKA o firmach, które udają, że są ekologiczne

ESEJ KULTURA

82 | **Wyspa w południe**

WERONIKA MUREK szuka wieloświatów po śladach tekstów kultury

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wyszyńska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, **Kultura i sekretarstwo redakcji:** Katarzyna Kazimierowska,
Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski, **Idee:** Karolina Lewestam, **Ekonomia i Technologie:** Zuzanna Kowalczyk,
Redakcja: Urszula Kifer, Zofia Sawicka, Ilona Turowska, Edyta Zielińska, **Korekta:** Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, **Wydanie Cyfrowe:** Ewa Pluta
Projekt makiety: Jacek Utko, **Redaktorka Artystyczna:** Karolina Mazurkiewicz, **Skład i łamanie:** Marta Juchnowicz-Bierbasz,
Szefowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wyszyńska, **Marketing:** Mateusz Roesler, **Promocja:** Ewa Salamon,
Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec, **Fundraising:** Natalia Czarkowska, **Reklama:** reklama@magazynpismo.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Kup książkę



KAROLINA LEWESTAM (ur. 1979), dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma”.

No więc droga K., czasem lubię zrobić coś złego. Nie „złego” w sensie *stricte*. Nie chcę kopać pie-sków ani psuć ludziom humorów. Pragnę tego, co niedozwolone, niezdrowe, niemądre. Słodyczne, używki, przyklejenie gumy pod siedzeniem w tramwaju. Łamanie zasad, które zresztą najczęściej narzucam sobie sam. Potem nikomu o tym nie mówię, jest tylko moje.

Czyn musi być gdzieś pośrodku – nie dość poważny, by dręczyło mnie sumienie, a przynajmniej nie dłużej niż kilka dni, ale jednak na tyle zakazany, żeby poczuć dreszcz emocji i uśmiechnąć się triumfalnie, kiedy zasada jest łamana.

Właściwie to poczucie winy czasem bywa... interesujące. Czy to jeszcze zdrowe, w normie, akceptowalne? Powinienem się zaniepokoić?

Kamil

—
Czasem o trudnych rzeczach dobrze jest napisać do kogoś, kto jest daleko. Napisz do mnie. rozmowyzk@magazynpismo.pl

Zakazany papieros, poruszone zdjęcie

No więc drogi Kamilu, pisziesz: „[To] jest tylko moje”.

Palisz? Ja palę. To znaczy, nie palę już bardzo długo, ale mentalnie wciąż palę – i jakiś czas paliłam w sekrecie. Miałam krem do rąk i tego typu rzeczy.

Stąd wiem, że generalnie istnieją dwa zakazane (czyżby) papierosy. Jeden jest za szkołą, ze znajomymi. On cię gdzieś wpuszcza. Jesteś na zewnątrz czegoś, ale tam jest być może fajna grupa ludzi, może jakaś wspólna sprawa typu obrabianie tyłka Baśce, może dorosłość, a może nawet i kółko chemiczne, którego członkowie mają potrzebę wzniesienia się na inny poziom wzajemnego społecznego zapętlenia, więc idą za śmietnik i niepewnie odpalają fajka. Bierz go (papierosa) – i jesteś w, jesteś *in*. Byłeś poza, już nie jesteś poza, chociaż oczywiście konieczna jest tu pewna poza (to właśnie nazywamy „szczęśliwym wypadkiem fonetycznym”).

Drugi zakazany papieros to taki, który cię wypuszcza. Może jesteś ojcem rodziny. Z trójką dzieci. Niech będzie: nastolatków. Żona u siostry; wróci za dwa dni. „Dlaczego nie kupiłeś mi biletu miesięcznego?” – mówi jedno dziecko. „Dlaczego zawsze na obiad kotlet?” – mówi drugie. „Czemu twoje życie jest pasmem bolesnych chwil, tunelem, z którego nie ma wyjścia, czemu jesteś zmęczony, ciągle zmęczony, tak zmęczony, że odbiera mi to wszelką nadzieję na przyszłość i w związku z tym winię cię za swoją depresję?” – mówi trzecie, ewidentnie nastrojone dziś jakoś bardziej egzystencjalnie. Wtedy bierzesz po cichu papierosa i biegniesz za dom, w zimę, za śmietnik, za wytłasyły bez, gdzie przykucasz i odpalas; jesteś kimś innym, jesteś wreszcie *out*. Jesteś poza, tak bardzo poza, że niepotrzebna (przez chwilę) jest ci żadna poza.

Tak samo, na dwa sposoby, działa plucie do kawy klienta i wszelkie inne drobne transgresje. Wpuszczają cię (jesz pączki z ciotką, chichoczeć). Wypuszczają (jesz pączki w pralni, mlaszcząc w rytmie wirówki, żeby cię nie odkryli; jesteś bowiem na diecie keto). *In* (drobna, lecz wesoła kradzież w sklepie z grupą entuzjastów niewielkiego ryzyka). *Out* (niczym Winona Ryder podwędzasz okulary na stacji benzynowej. Po co? Dla chwilowej satysfakcji wyjrzenia poza mieszczańską moralność, dla momentu nieistnienia). Nazwijmy te wszystkie transgresje papierosem. Papieros to zawsze odzwierciedlenie; pozwala ci wejść do jakiegoś świata i wyjść z jakiegoś świata.

Twój zakazany papieros, Kamilu, pozornie nie łąpie się na tę dychotomię. Ale może jednak o nią zahacza – bo widzisz, myślę sobie, że może jesteś jak kot. Kot zasadniczo zawsze trochę chce wyjść (albo wejść). Ale otwórz mu tylko drzwi, a wyda się, że wyjść tak do końca nie chce. Nie wychynie za próg kotoczołością. Wystawi za próg tylko skrawek kota, żeby sobie chwilę tak potrać w przeciagu. Podejrzewam, że daje to kotu poczucie wszędobycia i kocipotencji. Udowadnia sobie kot w ten sposób, że nie jest na stałe przynależny do tego pokoju, tego mieszkania, tego życia. Że istnieją podszewki rzeczywistości podważające jego zastaną rzeczywistość. I kiedy kot sobie to już udowodni, może wrócić do środka i dalej trwać grzecznie na swojej poduszce, jak porządny domowy kot. Bo teraz już wie, że to, co go tu trzyma, to nie bat czy słabość, nie ignorancja, ale jego osobista kotodecyzja.

Może po prostu Kamil, jak kot, musi czuć, że jest w świecie reguł, ale na swoich warunkach. Może musi mieć pelerynę niewidkę, która wykrawa mu wśród ludzkich oczu skrawek łotrzykowskiej wolności. Pali – bo jest wolny jak ptak. Ale nie zaciąga się do końca, bo w gruncie rzeczy te wszystkie reguły mu nie przeszkadzają; nikt nic lepszego nie wymyślił i jest tu w sumie dość miło.

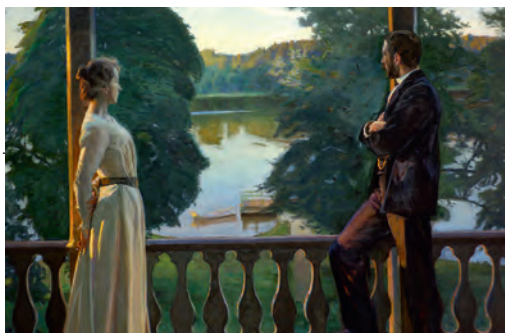
Czy powinieneś się niepokoić? E tam. Dziś jesteś archeologiem moralności z malutką miotłką, szukającym granic, swoich granic; jutro zaś, jak bóg czy Bóg da, będziesz już tylko kotem domowym i przykładowym mieszczańinem. Chwilowo to coś jest tylko twoje. Twoje i tego nieszczęśnika, który po raz kolejny przyklei się do gumy w tramwaju. Ten to nas kiedyś wszystkich zatłucze i każdy sąd go uniewinni, a będę nim, do ciężkiej cholery, ja.

Kup książkę

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”
poleca w **grudniu**

Od nowego roku nasze polecenia kulturalne znajdziecie w wersji rozszerzonej i aktualizowane co tydzień na stronie magazynpismo.pl/kultura/rzecz-gustu/



Wystawa *Przesilenie. Malarstwo Północy 1880–1910* w Muzeum Narodowym w Warszawie

Dzięki współpracy z Muzeum Sztuki w Göteborgu Muzeum Narodowe w Warszawie zaprasza na wystawę zatytułowaną *Przesilenie. Malarstwo Północy 1880–1910*. Jest to pierwsza w tej części Europy tak przekrojowa wystawa sztuki nordyckiej przełomu XIX i XX wieku, prezentująca dzieła najistotniejszych twórców ze Szwecji, Danii, Norwegii, Finlandii i Islandii.

WIĘCEJ: mnw.art.pl

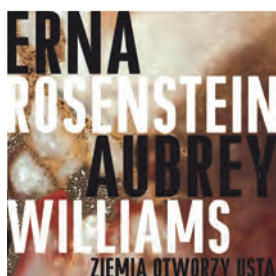
Festiwal Filmowy Watch Docs

Dwudziesta druga edycja Międzynarodowego Festiwalu Filmowego Watch Docs odbędzie się w formule hybrydowej – w warszawskich kinach oraz online. W programie znalazło się ponad pięćdziesiąt filmów dokumentalnych podejmujących temat praw człowieka – od zagrożeń związanych z propagandą i ograniczaniem wolności słowa, po te związane z kryzysem klimatycznym czy przejawami dyskryminacji mniejszości.

WIĘCEJ: watchdocs.pl



Grudzień 2022



Wystawa Erny Rosenstein i Aubreya Williamsa *Ziemia otworzy usta* w Muzeum Sztuki w Łodzi

Do 12 lutego w Muzeum Sztuki w Łodzi można obejrzeć wystawę *Ziemia otworzy usta*. Ekspozycja prac polskiej artystki o żydowskich korzeniach Erny Rosenstein i pochodzącego z Gujany Brytyjskiej (choć mocno związanego z Londynem) Aubreya Williamsa sprowadza się do malarskiego dialogu wokół tematu przemocy w latach 50. i 60., czyli w czasie dekolonizacji i wyłaniającej się publicznej pamięci o Zagładzie.

WIĘCEJ: msl.org.pl



Międzynarodowy Festiwal Filmów Krótkometrażowych ŻUBROFFKA

Między 7 a 11 grudnia w Białymstoku odbędzie się Międzynarodowy Festiwal Filmów Krótkometrażowych ŻUBROFFKA. W programie szesnastej edycji festiwalu czekają na uczestników najciekawsze filmy krótkometrażowe polskich i zagranicznych twórców oraz towarzyszące seansom wystawy, warsztaty i panele dyskusyjne.

WIĘCEJ: zubroffka.pl



Duża wojna. Portrety uchodźczy

Do 14 grudnia w warszawskim Faktycznym Domu Kultury oglądać można wystawę zdjęć, której kuratorką jest Magda Wdowicz-Wierzbowska *Duża wojna*. To portrety rosyjskiej inwazji mieszkają w Polsce. Powstały w ramach polsko-ukraińskiego projektu *Momenty*, realizowanego przez Fundację Instytut Reportażu.

WIĘCEJ: projekt-momenty.pl



[Kup książkę](#)



REMEDIUM

Maska jest jak zbroja

tekst i zdjęcie KAROLINA WYBRANIEC

Maska jest jak zbroja. Choć jej brak boli, to z nią z kolei jest ciężko, niewygodnie. Trzyma nas w twardych ramach, odcinając swobodę. Może przybierać różne formy: takie, by pasowała na nas jak ulał.

Nosząc ją, świadomie lub nie, chowamy się przed światem i tłumimy pod nią to, czego ona nie przepuści dalej. To, co potrzebowało wybrzmieć, nie wybrzmiewa. Odbijając się od zbroi, wraca do nas jak bumerang, krusząc nas na kawałki – choć na zewnątrz pozostajemy niezłomni.

Zbroja stwarza jedynie pozory spokoju i równowagi. Chroni nas przed zranieniem, a ściągnięcie jej oznacza obnażenie się. Niesie ono ze sobą ryzyko, że wchodząc w pełni w interakcję ze światem zewnętrznym, zostaniemy zranieni.

Ale dopiero wtedy, kiedy zaakceptujemy i w pełni otworzymy się na innych, na świat, możemy w końcu poczuć całe słodko-gorzkie spektrum tego, co dookoła i w nas.

A im dłużej w cieniu zbroi, tym ciężiej hartować ducha i uzbroić swoją wrażliwość, która, żebyśmy mogli żyć pełnią, musi ujrzeć światło dzienne – nawet gdyby miało nas ono najpierw sparzyć.

RAV·A
STORIES

Kup książkę

Wigilia

tekst WOJCIECH CHMIELARZ

—
Mam nadzieję, że naprawdę umiera.
— Mikołaj! — Janka uderzyła go wierzchem w dłoń w ramię, a potem znacząco spojrzała za siebie. Tam, na tylnym siedzeniu, nudzili się Antek z Kamil. Obaj mieli słuchawki na uszach i wpatrywali się w ekrany tabletów. Starszy, Kamil, poruszał głowę w rytm muzyki. Antek z kolei słuchał jakiegoś audiobooka i przesuwał palcem po ekranie, grając w jedną z prostych zręcznościowych gier dla najmłodszych.

— I tak mnie przecież nie słyszysz — mruknął Mikołaj.

— Kto umiera? — zapytał Antek.

— Wujek Kacper — odpowiedział mężczyzna, zanim zdążył ugryźć się w język.

Janka znów uderzyła męża w ramię. Odwróciła się do syna. Uśmiechnęła się ciepło.

— Nikt nie umiera, kochanie — powiedziałła łagodnie.

Wyciągnęła się, co nie było łatwe, bo pas wbijał się jej w pierś, i pogłaskała Antka po ręce.

— Ktoś umiera? — rzucił zaskoczony Kamil, ściągając z uszu słuchawki. Janka zdała sobie sprawę, że musiała trafić akurat na przerwę między piosenkami. Zakłęła w duchu — znowu?

— Nikt nie umiera — powtórzyła, opierając się z powrotem na siedzeniu.

— Wujek Kacper — wyjaśnił Antek.

— Wujek Kacper umiera? — zdziwił się Kamil, a potem pokiwał głową ze zrozumieniem. — To ma sens. To dlatego do niego jedziemy?

— Nie! Jedziemy do wujka, bo nas zaprosił — próbowała tłumaczyć Janka.

— Na Wigilię — wtrącił Mikołaj.

— Przecież Wigilia jest w zimie, a nie latem — powiedział Antek.

— Czyli wujkowi się na mózg rzuciło? Jak babci? — dopytywał Kamil.

— Nikomu się nic na mózg nie rzuciło! — próbowała ich przekrzyczeć Janka, ale w pewnej chwili po prostu machnęła ręką i spojrzała z urazą na męża. — Ty to zacząłeś, ty się tym martw i ty im teraz wszystko wytłumacz.

Mikołaj prychnął i wygiął kąciaki ust w lekkim, lekceważącym uśmiechu. Który jednak zniknął mu z twarzy, kiedy się zorientował, że w samochodzie zapadła cisza, a siedzący z tyłu synowie naprawdę oczekują od niego wyjaśnień.

— Mama ma rację — powiedział zmęczonym głosem. — Nic złego się nie dzieje. Nikt nie umiera.

— To czemu jedziemy na Wigilię w czerwcu? — zapytał Antek.

— Bo wujek Kacper jest lekko... — Zamachał palcem przy swojej skroni i zagwizdał krótko.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że wujek Kacper jest świrnięty — wyjaśnił bratu Kamil.

— Wujek Kacper nie jest świrnięty! — krzyknęła Janka. — Zresztą jak wy się wyrażacie?!

— No, normalnie! Nie powiedziałem przecież, że jest pierdolnięty.

— Kamil!

— Daj chłopakowi spokój — rzucił nerwowo Mikołaj. — Przecież ma rację. I w tym, że nie użył tego słowa, i w tym, że Kacper jest świrnięty. Jakby nie był, to by nie mieszkał na tym wypizdowie.

— Mikołaj!

— W tej dzicz! Chciałem powiedzieć: dzicz! — poprawił się gorączkowo, ale równocześnie odwrócił się do siedzących z tyłu chłopców i puścił im oczko. Antek zachichotał. Kamil pokiwał głową z aprobatą.

— Patrz na drogę — Janka zwróciła mężowi uwagę. — Zaraz będziemy skręcać.

Mikołaj wrócił do prowadzenia pojazdu. Chłopcy z powrotem założyli słuchawki na uszy. Samochód sunął wąską, asfaltową drogą, która z dwóch stron była ograniczona wąsciekle zielonymi gałęziami buków i dębów. Mikołaj nacisnął hamulec. Auto zwalniało powoli, aż wreszcie zupełnie się zatrzymało.

— To tutaj? — zapytał z niedowierzaniem mężczyzna.



– Mapa mówi, że tutaj – potwierdziła Janka.

Przez chwilę oboje wpatrywali się w nierówną leśną drogę, której koleiny po niedawnych deszczach wypełnione były brunatną wodą.

– Jak zerwiemy zawieszenie, to przysięgam, Kacper będzie za to płacić – powiedział Mikołaj.

– Aha... ciekawe z czego? – rzuciła zmęczonym głosem Janka.

– Z dupy.

– Tata powiedział „dupa”! – krzyknął z tyłu Antek.

Mikołaj zerknął z ukosa na żonę. Ta tylko machnęła ręką.

– Po prostu jedźmy – poprosiła.

POTEM TURLALI SIĘ wąską drogą prowadzącą przez las, podskakując nieustannie na wybojach, kiedy gałęzie drzew chłostały boki ich samochodu. Za każdym razem Mikołaj krzywił się, wyobrażając sobie rysy na lakierze. Do tego jechali pod słońce i nawet okulary przeciwsłoneczne niewiele pomagały.

– Niedobrze mi – jęknął z tyłu Antek.

– Zaraz będziemy – odpowiedział mu ojciec.

– Oby... – mruknęła Janka.

Ale faktycznie, po kilku minutach, kiedy skręcili w kolejną dróżkę, jeszcze węższą i jeszcze bardziej nierówną, dostrzegli pomiędzy drzewami szarość jeziora, a po chwili wzdłuż drogi wyrosła stalowa siatka. Stara, powyginana na wszystkie strony, jakby ktoś wielokrotnie wbił się w nią samochodem. Wreszcie pojawiły się niedawno zbudowane domki z bali. Drewno było jeszcze tak jasne, że aż biło po oczach.

Mikołaj wjechał na posesję przez pordzewiałą, trzymającą się na słowo honoru bramę i zaparkował tuż obok kilkuletniego szarego volvo.

– Rodzice już są – powiedział i wskazał na idącą w ich stronę parę.

– Dziadkowie! – krzyknął Antek.

Chłopiec jako pierwszy rozpiął pasy i wyskoczył z samochodu. Pędził jak szalony, najwyraźniej zapominając, że jeszcze przed chwilą było mu niedobrze. Najpierw dopadł do dziadka. Ten – pomimo wieku ciągle muskularny, wyprostowany i zdrowo opalony,

jakby całymi dniami pływał żaglówką lub pracował na roli – chwycił wnuka pod ramiona, poderwał go do góry, zakręcił w powietrzu i postawił na ziemi. Wtedy Antek przytulił się do babci. Kobieta była drobna. Swoją chudość ukrywała pod luźnym szarym swetrem, który nosiła nawet w tak ciepłe dni jak ten.

– Cześć, tato, cześć, mamo – powiedział Mikołaj, idąc w ich kierunku.

– Cześć, synu – rzucił ojciec, podając mu rękę.

Józef miał mocny uścisk. Zawsze ścisnął dłoń tak, jakby chciał ją zmiażdżyć. Mikołaj czasami się zastanawiał, czy ojciec chce sobie lub jemu coś w ten sposób udowodnić. Teraz ojciec dodatkowo przyciągnął go do siebie i poklepał po plecach. W tym geście nie było jednak ani grama serdeczności.

W tym czasie Janka przywitała się z teściową – Martą. Pocałowały powietrze obok swoich policzków, starannie uważając, żeby się nie dotknąć. Jakby się bały, że mogą sobie nawzajem zrobić krzywdę.

– Co to w ogóle za miejsce? Wiecie coś? – zapytał Mikołaj, rozglądając się dookoła.

Jednopiętrowe drewniane domki letniskowe zostały niedawno postawione, ale prace były dalekie od ukończenia. Wokół panował typowy dla budowy bałagan. Wszędzie leżały deski, narzędzia, materiały budowlane i mnóstwo kartonów. Był też jeszcze jeden budynek, większy i starszy od pozostałych. Połączony z pawilonem, który prawdopodobnie miał w przyszłości pełnić funkcję baru lub jadalni.

– Tyle co i ty – odpowiedział Józef. – Zresztą sami przed chwilą przyjechaliśmy. Zdążyliśmy się przejść nad jezioro. Ładne nawet. Woda czysta.

– A gdzie Kacper?

Zanim ojciec zdążył odpowiedzieć Mikołajowi, rozległo się głośnie szczekanie i na teren ośrodka wpadł wielki, kudłaty pies. Pędził w ich stronę. Marta zapiszczała głośno. Zrobiła ruch, jakby chciała uciekać, ale wtedy Józef chwycił ją pod ramię, więc po prostu schowała się za plecami męża. Za psem

wybiegł z lasu mężczyzna. Czupryna brązowych, poskręcanych włosów podskakiwała mu przy każdym kroku. On sam z trudem utrzymywał równowagę w wielkich gumowych kaloszach.

– Klara! – krzyczał – Klara!

Suka go jednak nie słuchała. Zatrzymała się kilka kroków przed nowo przybyłymi i szczekała, merdając przy tym wesoło ogonem.

– Kacper! – wrzasnęła histerycznie Marta. – Weź ją stąd! No weź!!!

– Już, już!

Kacper chwycił sukę za obrozę. Zapiął jej smycz i pociągnął do tyłu. Klara trochę się opierała.

– Spokojnie, dziewczynko, spokojnie – powiedział, klepiąc ją po bokach.

– Jak mogłeś, Kacper! – wybuchnęła Marta. – Jak mogłeś ją tak puścić! Przecież wiesz, że się boję psów!

– Wiem! Dlatego chciałem ją wybiegać przed waszym przyjazdem. Poza tym ona nikomu nic nie robi...

– Nieważne, czy robi, czy nie! – wszedł mu ostro w słowo Józef. – Jakbyśmy wiedzieli, że będziesz nas tu szczuć psami, to byśmy nie przyjeżdżali!

– Chciała się przywitać!

– Po prostu ją stąd zabierz! – krzyknął Józef.

Jego syn pobladł i przez kilka sekund stał jak sparaliżowany, zaciskając dłonie na grubej, czarnej smyczy. Klara przestała szczekać. Wodziła wzrokiem od jednej twarzy do drugiej i ciągle machała ogonem. Wreszcie Kacper kiwnął głową. Cmoknął na psa, pociągnął za smycz i razem poszli w stronę największego z budynków.

NA PARTERZE znajdowały się sanitariaty. Kacper wspiał się wraz z psem po zewnętrznych schodach na pierwsze piętro, gdzie było mieszkanie, które zajmował. Nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Nigdy nie zamykał ich na klucz. Tutaj, w środku lasu, nie było takiej potrzeby. Wpuścił Klarę do środka. Suka

przez chwilę radośnie kręciła się po pokoju, a potem wskoczyła na kanapę i umościła się na grubym wełnianym kocu. Stamtąd uważnie śledziła ruchy swojego pana, kiedy otwierał kuchenną szafkę i wyjmował ze środka puszkę. Było jeszcze za wcześnie na posiłek dla psa, ale Kacper planował zostawić Klarę samą na kilka godzin. Miał nadzieję, że po długim spacerze po prostu położy się spać.

Suka, słysząc charakterystyczny dźwięk otwieranej puszkę, zeskoczyła z kanapy i podreptała do Kacpra. Nie spuszczała z niego oka, kiedy widelcem wyskrobywał z puszkę resztki pokrytego brązową galaretką mięsa. Wreszcie postawił miskę na podłodze. Suka dopadła do niej i zaczęła jeść łapczywie, jakby nie miała nic w pysku od kilku dni. Co oczywiście nie było prawdą, bo nie tylko dostała solidne śniadanie, ale też zjadła sporo smakołyków na spacerze.

Kacper upewnił się, że Klara ma wodę w misce. Podrapał ją delikatnie po grzbiecie, czego zaaferowana suka chyba nawet nie zauważyła. Włączył jeszcze radio, żeby coś jej grało, kiedy go nie będzie, i opuścił mieszkanie.

Zszedł po schodach na dół. Były bardzo strome, musiał uważać przy każdym kroku, żeby się nie poślizgnąć i nie spaść. Zdziwił się, kiedy na dole spotkał czekającego tam na niego Mikołaja.

– Doczekałeś się, co? – rzucił mężczyzna.

– Nie rozumiem. – Kacper zmarszczył brwi.

– Psa się doczekałeś.

Kacper zaśmiał się krótko i pokiwał głową.

– Wziąłem ją ze schroniska kilka miesięcy temu.

– Pamiętam, jak prosiłeś rodziców, żebyśmy kupili jakiegoś czy adoptowali. Właściwie dla ciebie, bo ja to w sumie miałem gdzieś. Miesiącami nas tak męczyłeś. Gdyby to ode mnie zależało, to bym ci dziesięć kupił, żebyś się już tylko zamknął.

– Ale mama się nie zgodziła. Nawet na takiego małego.

– No... – Mikołaj przeciągnął się, a potem wskazał dłonią na drewniane domki. – Co to w ogóle za miejsce? – zapytał.

– Ośrodek wczasowy. Jeszcze rok temu było tu po prostu pole namiotowe, ale właściciel postanowił wyłożyć trochę pieniędzy i je rozbudować.

– Chyba tak sobie wyszło – zauważył Mikołaj. – Już czerwiec, za chwilę wakacje, a tutaj... praca wre, co nie?

– Jakiś problem z kasą. Wiesz, jak wszystko poszło teraz w górę. Ale w przyszłym tygodniu ekipa ma wrócić i dokończyć.

– A ty? Co tutaj robisz?

– Pilnuję.

– Czyli robisz za ciecia? – upewnił się Mikołaj.

– Tak.

– Ojciec nie będzie zadowolony, jak się dowie.

– A on był kiedykolwiek z czegoś zadowolony?



– Chyba nie – przyznał Mikołaj po chwili zastanowienia.

– No właśnie.

– Matka też się bardzo denerwowała, kiedy wyjechałeś z Warszawy. – Mikołaj chrząknął, jakby coś mu utknęło w gardle. – Wiesz, ze względu na tamto.

Kacper drgnął, jakby właśnie uchylał się przed wyimaginowanym ciosem.

– To nie z mojego powodu powinna się martwić, pamiętasz? – mruknął, a potem zmusił się do uśmiechu. – Dobrze was widzieć! Chodźmy.

Poprowadził Mikołaja do pawilonu. Tam czekała już na nich reszta rodziny. Wszyscy z niedowierzaniem wpatrywali się w wielki, przystrojony śnieżnobiałym obrusem stół, na którym znajdowały się wyłożone na półmiski świąteczne potrawy. Waza z zupą grzybową, śledzie, karp, pierogi z grzybami i na słodko, a pośrodku tego wszystkiego skromny talerz udekorowany świerkową gałązką,

a na nim opłatki. Z boku, pod ścianą, stało świeżo ścięte drzewko, przystrojone bombkami i łańcuchami. Wokół tych ozdób latał zagubiony żółty motyl, który najwyraźniej pomylił je z kwiatami. Pod choinką leżały zapakowane w lśniący papier prezenty, na które teraz zerkali Antek z Kamilem. Mikołaj, widząc ich miny, aż uśmiechnął się pod nosem. Kamil może i był już nastolatkiem, może budował wokół siebie świat, do którego nie dopuszczał rodziców, ale w takich chwilach zawsze wychodziło z niego małe dziecko. Ale, przywołał się do porządku, co to była za chwila? Zarządzona przez Kacpra Wigilia na początku czerwca, na którą przyjechali tylko dlatego, że bali się, że coś mu się stało. Albo że zupełnie mu już odbiło po tym, jak rzucił dobrze płatną pracę w zagranicznej korporacji i zaszył się gdzieś w głuszy, pośrodku Puszczy Augustowskiej. Po między lasem, jeziorem a bagnami.

Kacper tymczasem wyglądał na szczerze zakłopotanego.

– To już chyba wszystko zimne – powiedział, wodząc wzrokiem od jednej potrawy do drugiej. – Może ja to szybko zaniosę do kuchni, podgrzeję w mikrofalii...

– Nigdzie nie idź – powiedziała stanowczo matka.

– Ale zimne będziemy jeść? – zdziwił się mężczyzna.

– Niczego nie będziemy jeść. Nie będziemy się bawić w to twoje wariactwo. My tu z ojcem przyjechaliśmy porozmawiać o mieszkaniu.

JANKA POMYŚLAŁA, że prędzej czy później musiał wypłynąć ten temat. Mieszkanie. Trzy pokoje w kamienicy na Powiślu, ponad osiemdziesiąt metrów. Jeszcze niedawno mieszkała tam babcia Mikołaja i Kacpra, matka Józefa. Od lat niewiele tam robiła, więc zawałone było starymi, brzydkimi, masywnymi meblami, w których chowała wszystko, co się da, na wypadek gdyby miało się kiedyś przydać. Miała tam worek z rajstopami, z których połowa była podarta, worek z poźółką ze starości (przynajmniej taką Janka miała nadzieję) bielizną, worek z lekami, których data ważności minęła lata temu. Miała nawet worek z workami. I oczywiście do tego wszędzie, w każdym pokoju,

śmierdziało. Dobra, może z tym określeniem Janka przesadziła. Ale ta woń starości, minionego czasu, mieszanina kurzu, zapachu chorego ciała i zmęczenia, sprawiała, że łączyły jej oczy. Mimo że spędzała tam mnóstwo czasu – zdecydowanie za dużo, gdyby ktoś ją zapytał – nie potrafiła się przyzwyczaić do tej woni. Po powrocie do domu zawsze na dłużej znikła w łazience, szorując swoje ciało, żeby tylko się jej pozbyć.

Niemniej to było ponad osiemdziesiąt metrów w kamienicy na Powiślu. Z sufitami tak wysoko, że spokojnie można było zrobić w mieszkaniu ściankę wspinaczkową. Już teraz warte było pewnie z półtora miliona złotych, a gdyby trochę nad nim popracować, to dałoby się tę cenę podwyższyć do dwóch milionów. Astronomiczna kwota za trochę większe M3, ale Janka była pewna, że znalazłby się ktoś, kto by wyłożył takie pieniądze.

Ponad osiemdziesiąt metrów w kamienicy na Powiślu – i z jakiegoś niezrozumiałego dla wszystkich powodu babcia zapisała jej Kacprowi.

– Idźcie rozpakować prezenty – powiedziała Janka do chłopców.

– Ale czy już możemy? – zapytał niepewnie Antek.

– Możecie. I tak teraz nikt nie będzie zwracał na was uwagi.

Delikatnie popchnęła ich w stronę choinki. Równocześnie nie spuszczała wzroku z teściowej. Nigdy jej takiej nie widziała. Ta krucha, delikatna kobieta zawsze sprawiała wrażenie lekko przerażonej. Zwłaszcza przy postawnym, pewnym siebie mężu. Ale teraz była wściekła. Jej blade policzki lśniły czerwienią, a ręce drżały, jakby z trudem się powstrzymywała, żeby nie zacząć rozbijać ustawionych na stole talerzy.

– O mieszkaniu... – powtórzył Kacper. Wyglądał na autentycznie zaskoczonego, że ten temat w ogóle się pojawił.

– Nie zasługujesz na nie! – krzyknęła Marta do syna. – Nic przy babce nie robiłeś. W niczym nie pomagałeś. Spóźniłeś się nawet na pogrzeb! Nie powinienś dostać mieszkania, bo ono należy do ojca!

Kacper był wstrząśnięty. I samym atakiem, i jego gwałtownością. Zerknął na Jankę, jakby szukał u niej pomocy, ale ona odwróciła wzrok. Lubiła swojego szwagra. Na pewno bardziej niż teściową. Ale w tym

akurat teściowa miała rację. Kacper nie zasługiwał na to mieszkanie. Zresztą nie tylko on.

– Jeśli już sobie rozmawiamy, co kto zrobił – Janka ze zdziwieniem usłyszała swój własny głos – to do was też to mieszkanie nie powinno trafić. Bo rzadko was w nim widziałam.

Matkę Mikołaja aż zatkało.

– No, ty się chyba, Janka, zapominasz – wyrzuciła z siebie wreszcie.

– Nie się zapominam, ale przypominam i wam, i sobie, że częściej myślałam tę kobietę niż wy dwoje razem wzięci. A ona nawet nie była moją rodziną!

– Była babcią twojego męża!

– Jance chodziło o to, że nie były spokrewnione – włączył się Mikołaj. – Zresztą sama dobrze wiesz, o co jej chodziło. I Janka ma rację. To ona i ja zajmowaliśmy się babką. Myśleliśmy ją, przebieraliśmy, gotowaliśmy dla niej i obserwowaliśmy, jak demencja odbiera jej rozum do tego stopnia, że myślała o jej najbliższych osobach... Że też ten notariusz przyjął ją, kiedy była w takim stanie... – Mikołaj pokręcił z niedowierzaniem głową. Testament zostawiony przez babkę był dla wszystkich zaskoczeniem. Sporządziła go już w stanie zaawansowanej choroby. Nikt nie wiedział nawet, kiedy i w jaki sposób skontaktowała się z notariuszem. Czy poszła do niego do biura, czy on przyszedł do domu? I jak jej się udało zrobić na nim tak dobre wrażenie? Bo utrzymywał, że była w pełni władz umysłowych. Gdyby beneficjentem testamentu był ktoś inny niż Kacper, podejrzewaliby oszustwo. Ale jakoś nikt nie wierzył, że młodszy syn Józefa i Marty byłby do czegoś takiego zdolny.

Mikołaj westchnął ciężko i zerknął na brata.

– Przynajmniej wszyscy się zgadzamy, że powinienś zrzec się spadku.

Kacper lekko się zaczerwienił i chrząknął zakłopotany.

– Myślałem trochę o tym... – powiedział i zamknął, kiedy poczuł na sobie ich oburzone spojrzenia. Chwilę mu zajęło, zanim znowu zdołał wydobyć z siebie głos. – Skoro babcia uważała, że to ja powinienem dostać to mieszkanie, to wydaje mi się, że należy uszanować jej wolę.

– Chyba sobie, kurwa, żartujesz... – stęknął Mikołaj.

– Nie żartuję! Ja wiem, że to dziwne, i mnie samemu się nie podoba...

– To zrezygnuj z tego mieszkania!

– Ale ona była dorosłą kobietą, która podjęła pewne decyzje. I kim my jesteśmy, żeby te decyzje teraz, po jej śmierci, podważać?

– Ona była jebnięta, Kacper! – wrzasnął Mikołaj. – Przepraszam, tato. Nie było cię przy niej. Nie widziałeś jej. Nie rozmawiałeś z nią. Ona miała watę zamiast mózgu!

– Być może! Ale w ostatnim przebiegu świadomości sporządziła ten testament. I teraz chodzi o to, żebyśmy uszanowali ostatnią wolę kogoś, kogo kochaliśmy i kogo już nie ma wśród nas.

– Jakbyś ją kochał, tobyś przynajmniej raz do niej przyjechał, żeby jej dupę podetrzeć – warknęła Janka.

Kacper zachwiał się, jakby go ktoś uderzył w brzuch.

– A właściwie po co ci to mieszkanie? – zapytał Mikołaj trochę spokojniejszym głosem. – Siedzisz tutaj, w tej dziurze. Wpierdajesz konserwę turystyczną. Masz psa. Po co ci to?

– A tobie? A wam?

– Bo mamy dzieci – odpowiedziała Janka i wskazała na siedzących pod choinką Antka i Kamila. Dopiero teraz zorientowała się, że żaden z nich nie otworzył prezentu. Żaden nawet nie wziął paczki do rąk. Przysłuchiwali się zdezorientowani i przestraszeni dyskusji dorosłych. Jance zrobiło się wstyd, że są tego świadkami, ale pomyślała, że mleko już się wylało i jakoś im to wszystko wyjaśni później. Znowu zwróciła się do szwagra:

– Ty wiesz, jakie są teraz ceny w Warszawie? Ty wiesz, co to mieszkanie może znaczyć dla ich przyszłości?

– I dlatego przyjeżdżaliście do babki? – odezwała się lodowato Marta. – Dlatego, jak to ujęłaś, kochana – i w tym jednym słowie „kochana” było tyle jadu, że Jance aż skreśliło żołądek – „podcierałaś jej dupę”? Żeby dostać to mieszkanie? Przyznaj przynajmniej, miej tyle uczciwości, żeby mi teraz powiedzieć prosto w oczy, że robiliście wszystko, żeby położyć na nim łapę!

– Robiliśmy to, co robiliśmy, bo ktoś to musiał robić! Bo opiekunka przychodziła do niej na ledwie kilka godzin, a jej własny syn i synowa prawie jej nie odwiedzali!

– Janka... – Mikołaj zbliżył się do żony. Próbował ją uspokoić. Ale odrzuciła go gwałtownym ruchem.

– Przecież tak właśnie było! – krzyknęła. – Ile my o tym rozmawialiśmy, Mikołaj?! Ile razy babka myliła cię z synem, bo nie mieściło jej się w głowie, że w takiej chwili porzuciło ją własne dziecko?!

– Uważaj na słowa! – ostrzegła ją Marta.

– Bo co?!

– Bo to mieszkanie prawnie należy do Józefa! On był jej jedynym synem, on je powinien dostać i on je dostanie!

Janka roześmiała się głośno.

– Zapominasz, mamusi, o testamencie. Zresztą wiecie co? Weź sobie to mieszkanie, Kacper. Weź je. Nie będziemy ci stawiać na drodze. Lepiej, żebyś ty je dostał niż twoi chciwi rodzice!

– Nie jesteśmy chciwi! – zaprotestowała Marta.

– Nie jesteście!? A po co wam ono?! Przecież się tam nie przeprowadzicie, macie dom w Piasecznie! Chcecie je sprzedać! Na starość wam się kasy zachciało! Wakacji pod palmami!

– Na starość się nam zachciało leczenia!

Wszyscy zamilkli, jakby nagle ktoś im ścisnął gardła imadłem. Słyszeli tylko szum poruszanych wiatrem drzew i szczekanie zamkniętej w mieszkaniu na pierwszym piętrze Klary.

– Ojciec jest chory... – wyszeptała Marta.

A PÓŹNIEJ TYLKO patrzyli, jak Józef, który do tej pory nie odezwał się ani słowem, podchodzi do stołu. Bierze talerz i nakłada sobie na niego śledzia, dwie kromki chleba, kilka pierogów, a potem wychodzi i nie śpiesząc się ani nie oglądając się za siebie, idzie nad jezioro.

Pierwszy ruszył za ojcem Kacper. Mikołaj pocałował Jankę w czoło i poszedł za bratem. Doszli nad jezioro, gdzie tuż nad samym brzegiem ustawiono drewnianą ławę. Józef siedział na niej, z talerzem na kolanach, i przeżuwał powoli śledzia. Kiedy zauważył synów, wskazał rybę widelcem.

– Dobrze – powiedział. – Sam robiłeś?

– Kupiłem – odparł Kacper.

– Będziesz musiał nam przed wyjazdem powiedzieć gdzie.

Mikołaj stanął przed ojcem. Kacper trochę z boku. Przez minutę, może dłużej, wpatrywali się w milczeniu w pomarszczoną powierzchnię jeziora i parę łabędzi, która leniwie płynęła przez jego środek.

– Co ci jest? – zapytał wreszcie Mikołaj.

– A co ma być? – odpowiedział ojciec.

– To, co zawsze, to, co wszyscy. Rak. Jeden z tych paskudnych.

– A leczenie? Operacja? Chemia? Radio-terapia?

– Ach! – stęknął Józef, uśmiechając się lekko. – Będzie, będzie. Ale nie wiadomo po co. To dlatego mamie tak zależy na tym mieszkaniu. Znalazła sobie... mnie... jakąś klinikę w Stanach. Koresponduje z nimi. Dają jej nadzieję, że operacja, że terapia eksperymentalna. Ale oczywiście chcą pieniędzy.

– W takim razie... – zaczął Kacper, ale Józef przerwał mu machnięciem ręki.

– I tak tam nie pojadę – powiedział. – Rozmawiałem ze swoim lekarzem. To jacyś szarlatani są. Ale matka ma zajęcie. A tego teraz potrzebuje. Żeby nie myśleć o tym, że zostanie sama.

– Nawet jeśli leczenie nie pomoże... – zaczął Mikołaj i uciął spiorunowany spojrzeniem ojca. – Chodzi mi o to, że nie zostanie sama. Ma nas.

Józef odłożył talerz. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł tłuste od oleju usta.

– Wiecie, dlaczego mama boi się psów? – zapytał.

– Pamiętam coś, że jeden ją pogryzł, kiedy była dzieckiem, i...

Ojciec pokręcił głową.

– Żaden jej nie pogryzł – powiedział.

– Zresztą nawet jeśli... Kacpra pogryzły dziesiątki razy, bo leciał do każdego kundla, którego zobaczył na ulicy. Że ty wściekły nie dostałeś – zwrócił się do młodszego z braci – to przecież cud jest.

Kacper zaśmiał się krótko i mimowolnie zerknął na swoje prawe przedramię. Gdzie, jeśli się dobrze przypatrzeć, wciąż można było dostrzec blade pamiątki po spotkaniu z pewnym owczarkiem.

– Dążę do tego, że... ludzie się boją, bo się boją. Bez powodu. A może czasem mają powód, bo faktycznie, Janka ma rację, mało mnie było u babki, kiedy umierała. I pewnie mama sobie myśli, że jeśli ona zostanie



**Zmienia się
krajobraz,
nie zmienia
się walka
o klimat.**

**Odwiedź naszą
nową stronę.**

OK.press

Kup książkę